

Miasto w górę

Pragnąłbym, aby Poznań roku 1985 stał się jednym z najpiękniejszych miast w kraju: by miał racjonalnie ukształtowane granice, zwartą zabudowę i współczesną, urozmaiconą architekturę. Chciałbym, aby rósł wzniosł się na wzgórzu: zaoszczędzoną ziemię oddał bym rolnikom.

Jeśli spojrzeć na nasze miasto z lotu ptaka, przypomina ono swym kształtem ośmiornicę: z małego tułowia — centrum rozczapierzają się wzdłuż wylotowych dróg, długie macki miejskiej zabudowy. Tylko, że w obszernej klinach między tymi mackami prosperują autentyczne wsie a niedaleko tułowia pasą się owce i kozy. Proponuję te macki skrócić i więcej uwagi poświęcić za gospodarowaniu środka miasta.

W 1938 roku 260 tysięcy Poznań zajmował niewiele ponad 7 000 hektarów powierzchni. Lecz właściwa zabudowa miasta: domy, ulice, parki, cmentarze, koleje itp. zajmowała tylko 40 procent tej niewielkiej wydłoby się powierzchnii. Resztę stanowiły tereny rozwojowe. Na upartego zmieszciliby się na nich i 600 tysięcy Poznań roku 1985.

Dzisiejsze granice miasta ukształtowali Niemcy. W 1940 roku przyłączyli do Poznania 23 podmiejskie wsie a 2 lata później dalszych 10, powiększając obszar miasta trzykrotnie. W roku 1949 ówczesna Miejska Rada Narodowa te rozrzucone granice miasta zaakceptowała i to spowodowało określone skutki.

Proszę stanąć w którymkolwiek punkcie miasta w jego przedwojennych granicach i rozejrzeć się dookoła. Nigdzie nie jest ono architektonicznie wykończone. Obok 3 i 4 piętrowych czynszówek stoją parterowe rudery, między nimi jakieś baraki, magazyny, ogródki i wiele, wiele miejsc pustych. Tymczasem inwestorzy, projektanci i budowlani prą na rolnicze tereny przyłączone do miasta, bo tam nie ma kłopotów z wykwaterowywaniem i wyburzaniem, ziemi „darmowej” jest wbród i budowa wypada najtaniej.

Czy rzeczywiście najtaniej? Jeśli koszty zważamy tylko do wydatków na każdy metr kwadratowy powierzchni mieszkań — to tak. Lecz jeśli ujmijemy rzecz szerzej, jeśli spytamy ile wynosi koszt zasiedlenia każdego mieszkańca na peryferiach i policzymy także koszty doprowadzenia dróg, wody, gazu, kanalizacji, energii i telefonów. Jeśli włączymy koszt budowy nowej sieci usług handlowych, oświatowych,

socjalnych, kulturalnych, komunikacyjnych itd. itp. to rachunek na pewno nie będzie tak optymistyczny.

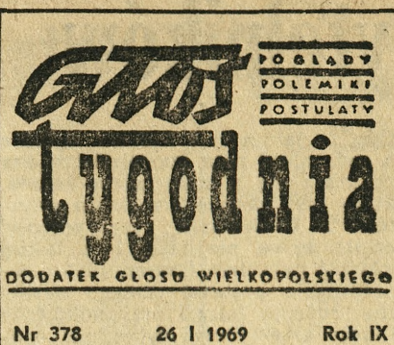
Dlatego uważam, że w następnym 17-leciu dzielącym nas od roku 1985 władze miejskie powinny zawrócić inwestorów do środka miasta. Gdzie jest napisane, że spółdzielcze budownictwo musi być prowadzone tylko w zwartych dużych osiedlach? Dlaczego nie może być spółdzielczości ulicznej, wypełniającej wszystkie wyrwy w zabudowie takich ulic jak Dąbrowskiego, Dzierżyńskiego, Głogowska, bądź też stawiającej „wysokościowce” w miejsce parterowych drewniaków przy Rynku Wildeckim?

Bo przecież ktoś te „plomby” musi wreszcie tym i innym ulicom wstawić oraz owe drewniaki zburzyć. A koszty zasiedlenia będą tu na pewno niższe niż na Ratajach i Winogradach. Poza tym miasto zyska na uroku, a ludzie będą zadowoleni. Bo jeśli ktoś sądzi, że wsty

stkie oczekujące na mieszkanie rodziny z entuzjazmem idą na Rataje, to jest w błędzie. Szkoda, że „kwatery” nie prowadzą u nas ankiet w rodzaju: „gdzie byś zamieszkał najchętniej?”.

Sugerując budowę wieżowców przy Rynku Wildeckim ująłem je w cudzysłów. Bo w Poznaniu utarł się dziwny zwyczaj nazywania wszystkich budynków mających więcej niż 5 pięter wieżowcami. Skąd się ów zwyczaj wziął — nie wiem. Może z obowiązujących przepisów, które mówią, że jeśli kto chce budować powyżej 5 pięter, musi uzyskać zgodę Ministerstwa Budownictwa? W każdym razie zwyczaj ów traci prowincjonalizm. Wystarczy popatrzeć uważnie na kroniki telewizyjne. Wszyscy nasi sąsiedzi. Rosjanie, Niemcy, Czesi pną się w górę. Nasze „wielowce” zaliczane są tam do budownictwa typowego a nie wyjątkowego.

Proponuję, aby władze miejskie Poznania domagały się od Ministerstwa Budownictwa skasowania owe go 5-piętrowego pułapu. W następnym 17-leciu Poznań powinien także pójść w górę. Miasto Międzynarodowych Targów nie powinno odbiegać architekturą od Lipska, Brna czy Kijowa. Wieżowce typu „Piekary” czy „Centrum” powinny być regułą, a nie wyjątkiem miejskiej zabudowy. Naturalnie pod warunkiem, że będą także zamieszkałe a nie tylko „zabiurowane”, i że nie będą monotonne w wystroju. Wtedy bowiem życie w takim mieście stało by się przykre.



Nr 378 26 I 1969 Rok IX

Kupowanie prostych nawet rzeczy przypomina nieraz grę w totolotka — na poszukiwany nabytek trafiamy szczęśliwie dopiero w którymś z kolei sklepie. A przecież rynek nasz powoli zdobywa równowagę, mamy dostatecznie dużo towarów, których jednak ciągle szukamy w sklepach. Więc co — niefrasobliwość handlu, zatory na drodze od producenta do konsumenta?

To również, ale są inne jeszcze przyczyny. Handel obecny przypomina bowiem po trochu małą maszynkę, która nie może przekroczyć całego mięsa: jest mało sklepów, i one są małe, nie przystosowane do wymagań obecnej obsługi klienta. Kiepska to perspektywa dla nabywców. On przecież zna Uchwałę V Zjazdu partii:

„Ogólne tempo wzrostu dostaw wyrobów przemysłu lekkiego powinno wynieść w latach 1969 i 1970 ok. 16 procent. W szybszym jednakże tempie, o ok. 23 procent, powinny rosnać dostawy artykułów rynkowych produkowanych przez przemysł maszynowy i metalowy, dostaw wyrobów przemysłu chemicznego — o ok. 25 procent, a meblarskie go — o ok. 21 procent.

Zakładano na lata 1971—1975 wzrost dochodów pieniężnych ludności spowoduje rozszerzenie popytu oraz dalsze strukturalne zmiany potrzeb materialnych społeczeństwa.

Zmiany w strukturze spożycia będą kształtowały się pod rosnącym wpływem wzrostu zatrudnienia, znacznie wyprzedzającego ogólny wzrost liczby ludności, oraz pod wpływem wzrostu grupy ludności w wieku 20—29 lat, w którym rozpoczyna się samodzielne życie. Oba te czynniki spowodują poważny wzrost zapotrzebowania na odzież, obuwie i inne artykuły przemysłowe...”

Przymiarka do potrzeb

W ciągu 7 lat handel musi zatem przepuścić przez swą maszynkę zwiększoną masę towarów. Partia widzi te skale trudności, stawia mu więc w zjazdowej uchwale określone zadania: lepszą znajomością potrzeb, organizację zaopatrzenia, intensyfikację sprzedaży artykułów będących pod dostatkiem, rozwój sieci sklepów w uwzględnieniu centrów handlowych, specjalizacji, nowych sprawniejszych form obsługi.

Założenia te nie wytycza jednak dla Poznania czy Wielkopolski szcze gółów działania na te 7 lat. To już

Zbigniew Sęk

KRZYWE OBLCICZE MERKUREGO

sprawa własnego rozeznania, dołowych przymiarek i decyzji.

Przymiarki takiej dokonano w grudniu w dzielnicy Grunwald na Plenum KD PZPR. Ponieważ dokonano ono nader skrupulatnej analizy sytuacji i pewnych ogólnych spostrzeżeń przydatnych dla dalszego działania w handlu, wróćmy do niektórych wysuniętych wówczas wniosków.

Inwestycje bez inicjatywy

Mamy mało sklepów. Wynika to z prostego wyciszczenia zasobów, liczebności sklepów i ludności w rejonach sprzedaży. Ogólny niedostatek placówek handlowych pogłębia się, bywa jeszcze nierównomiernym ich usytuowaniem. A więc — **problem prawidłowej lokalizacji sklepów i branż.**

Najtrudniej rzecz jasna będzie budować nowe obiekty. Ale przecież co roku powstają nowe pawilony handlowe, oddajemy sklepy w

tak dlatego, że obecne inwestycje i remonty w handlu kontynuowane są bez śmielszej inicjatywy i stanowczości ze strony handlowców.

Odpowiedzialność za to muszą przejąć rady narodowe. Niezbędna jest ich dalekowzroczność, koordynacja poczyną przedsiębiorstw handlowych, a także pomoc w rozstrzygnięciu czyj sklep, branża, są potrzebniejsze, gdzie należy wyprowadzić poszkodowanych. Trzeba to przewidzieć także w polityce lokalowej, w miejskim budownictwie, aby stworzyć rezerwy zastępczych lokali.

Kadry, czyli kobieta za ladą

Niemniej nabrzmiały jest i będzie problem kadr, jeśli nie będziemy uwzględniać specyfiki pracy handlu i perspektyw zatrudnienia. W Poznaniu np. w branży przemysłowej w roku ubiegłym przypadało na jednego zatrudnionego po 700—850 tysięcy złotych rocznych obrotów. W artykułach spożywczych wydajność ta sięgała miliona! Jeśli dodamy do tego, że 74 procent załóg handlowych to kobiety (średnio zaś w gospodarce społecznej Poznań 39,5 procent), uzyskamy niewesoły obraz perspektywy. Nie ma tu bowiem wiele co liczyć na dalszy wzrost wydajności pracy handlowca, jeśli w tych niewielkich z reguły sklepach nie będzie się ciągle usprawniać organizacji, jeśli zabraknie środków i konceptu na modernizację i mechanizację transportu, jeśli bez końca trwać będą eksperymenty z czasem pracy sprzedawców — również ku rozpacz nabywców. Perspektywa zatrudnienia w poznańskim handlu to praca kobiet, a tymczasem nie mają one jeszcze na przyszłość odpowiednich ku temu warunków. Nie lepiej jest w innych naszych miastach.

Po czwarte — organizacja

We wspomnianych tu przedsiębiorstwach, nieodwołalnych dla polepszenia obsługi nabywców, konieczna jest organizacja. Tę organizatorską rolę wyczuwa się już w wielu miejscowościach Wielkopolski, niestety, śmiem twierdzić, że brak jej nadal w poznańskich warunkach. Koncepcja, organizacja i konsekwencja — oto czego potrzeba nam i czego oczekujemy od naszych władz handlowych. Potwierdza to zresztą uchwała plenum KD PZPR na Grunwaldzie, która jako główny warunek powodzenia planów dotyczących handlu w tej dzielnicy postawiła potrzebę „realizowania wszystkich dotychczasowych postanowień.

sunąłem się do okna. Zajrzałem do środka.

To co zobaczyłem było akurat tym czego oczekiwałem. Za ladą stał synkarz i jakiś drugi. Ręce trzymali nad głową. Wyglądali na mocno wystraszonych. Przed ladą tyłem do mnie stało dwóch facetów i trzymało rewolwery wymierzone tamtym dwóm w brzuchy. Jeden z tych z rewolwerami coś gadał. Widziałem jak gęba mu się ruszała. W porządku, pomyślałem, jeżeli pies chwilowo zostawi mnie w spokoju.

Pchnąłem delikatnie ramę okna. Nie było zamknięte. Ten z rewolwerem gadał jakieś zagmatwane historie i wcale nie miałem ochoty tego słuchać. Czegoś też zdaje się chciał od Mouflona. Spieszyło mu się. Od razu mnie to zdenerwowało. Teraz kiedy Mouflon jest potrzebny nam, kiedy ja się spieszę i nie mam chwili czasu, gdy tam czekają na mnie w cholernie ważnej sprawie — akurat wtedy oni muszą mieć interes do Mouflona! I do tego jeszcze wyglądają przemowy. Poczuję się dotknięty do żywego.

Pomysł jak błyskawice przemikały mi przez głowę: wpadnę, tego wyższego rąbną głową w spłot słoneczny, mniejszego... Mniejszy tymczasem wykończy mnie. Trzymają w łapach gotowe do strzału rewolwery. Strzelać do jakichś obcych facetów z tyłu nie było moją specjalnością.

Skontrolowałem wnętrze. Była to wysoka izba, sufitem sięgająca dachu. Z tego sufitu coś zwisało. Poka-

Dokończenie na str. 2

Bogdan Rutha

Samotny jeździec

oczami: dwa różowe kwadraciki tam w dole. One rosły, powiększały się, już było widać ramy okienne i firanki. Koń teraz skakał raz po raz. Jakieś płoty i sterty czegoś zagradały mu drogę ale mnie wcale to nie interesowało. Taką podróży w natchnieniu człowiek zwykle odbywa tylko raz w życiu. To prawda, czasem trwa ona od wczesnej młodości do śmierci. Tylko raz w życiu można do tego stopnia zapomnieć o całym Bożym świecie. Zazwyczaj — raz na zawsze. Pewnie wtedy, gdy widzi się w dali jakieś cholerne migające światełko, co do których nie ma się zupełnej pewności, czy w ogóle są, czy też tylko myśmy je sobie wymyślili. Za czymś takim można lecieć przez całe życie. I też niczego innego nie widzieć. Chociaż to i owo dokoła nas się dzieje.

Okna u Mouflona były już zupełnie wyraźne. Jeszcze jeden skok ko nia przez furtkę w płocie — mieli, cholery, konie. Jak z Epsom albo z Chantilly — i znalazłem się w gęstym sadzie. Gałęzie uderzyły mnie w twarz. Mój konik stanął. Zeskoczyłem. Przysiadłem się leciutko do drzewa. Mógł się jeszcze przysiąść. A ja mogłem nie mieć wiele czasu. Za cząłem przysiadłem się przez krzaki agrestu, cząłem się tam, w kierunku

domu i tych różowych okien. Teraz pokazało się, że wcale nie były różowe. Tylko żółte. To odległość i noc zmieniła ich kolor. A więc jednak coś z tymi oknami było!

Krzaki przerzedziły się, za to teraz opłatywały mi nogi jak ośmiornice. Pojąłem, że przedzieram się przez winnicę. Ciągłe jakieś paliki uderzały mnie po kolanach. Robiłem to wszystko najciszej jak tylko umiałem, ale pewnie był hałas jakby stado dzikich świń uciekało przed nagonką. Na końcu przewróciłem jakiś ul ale był już późny wie czór i na moje szczęście pszczoły pewnie spały. Winnica skończyła się i wyrósł przede mną dom Mouflona, z tymi dwoma oknami. Przy drzwiach stały dwa osiodlane konie. W kulkach tkwiły dwie kolby. Dwa karabinki wetknięte były w siodła lufami w dół. Kiedy przyjrzałem się lepiej, stwierdziłem była to broń myśliwska, bock i drilling. Spóźniłem się. Konie miały lby wysoko uniesione. Wielkimi oczami szukały dokoła. Weszły. Pewnie mnie albo tego trzeciego. A najpewniej nas obu. Żeby tylko draniom nie przyszło do głowy rzeć! Rzeć a może jeszcze awanturować się. Jezus Maria. Tego by tylko brakowało!

— No bracie — szepnąłem — Teraz...

Jak tej sprawy nie rozegram prawidłowo, to będzie to moja ostatnia sprawa na tym świecie. Tamtą zaj-

mą się inni. Dobrze się żyło, co? Nie bardzo. I to by było wszystko?

Akurat jest wspaniała okazja do wygłaszania filozofii, skarciłem się w duchu, i już byłem pod tymi oknami. Przylepiłem się do ściany. Na głą zmartwiałem. Z mroku wprost na mnie patrzyły ślepie. Dwa świe cące czerwone ślepie. W jednej sekundzie byłem mokry od stóp do głowy. Co to?.. Dwa metry ode mnie stał pies. Wielki pies. Stał i patrzył. Nawet nie wiedziałem od jak dawna. Konie, pomyślałem i zacząłem szybko kombinować kogo teraz najpierw zastrzelić: siebie, tamtych, czy tego cholernego psa. Jak rozewrze mordę, jestem załatwiony. Dlaczego jeszcze nie szceka?

Jeżeli coś z tego co ostatnio zdarzyło mi się we Francji w okolicach Corbieres pod Tet Roussillon było trudne do uwierzenia — to właśnie ten kundel. Wszystko inne było w końcu rezultatem naszego wysiłku umysłowego, dowcipu, pracy naszych mięśni, no i szczęścia. Pies pewnie nie był z tej ziemi. Z jakiejś innej. Przecież zamiast obliżać się oзем jakby właśnie zeżarł coś pierwszorzędne, powinien podnieść alarm na całe wschodnie Pireneje i kawałek Hiszpanii! Przyszło mi do głowy, że takie rzeczy zdarza ja się, choć rzadko, i że pewnie był jak poczuł znajomego, który z psami jest za pan brat i zostawił sobie tę sprawę na później. Jeżeli dotąd milczy, będzie siedział cicho. Przy-

Adios u Mouflona! — krzyknąłem i skoczyłem na ziemię. Usłyszałem tetent galopującego konia. Pedził na mnie. Rzuciłem się w bok. Gdy zrównałem się z mną, chwyciłem się tego wiszącego mu pod brzuchem siodła. I to było wszystko. Zatrzymał nie konia i wciągnął mnie siodła na swoje miejsce trwało kilkanaście sekund. Od dziecka ćwiczyłem się w czymś takim. Koń tylko parsknął raz po raz i rzucał łbem w stronę oberżysty Mouflona jakby wiedział i jakby mu się tam cholernie spieszyło. Prawie tak samo jak mnie.

Koń i pies to pierwszorzędne stworzenia. pomyślałem i już pedziłem w dół, na przelaj przez pola i jakieś tam chaszcze, łąki i wrzosowiska. Mój wierzchowiec jakby dostał skrządeł. Mknął jak wiatr. Księżyc właśnie stawał nad oberżystą Mouflona. Pedziłem na ten księżyc. Widziałem tylko ten księżyc, okragły jak dolar i te dwa różowe kwadraciki pod nim. Nie więcej. Od czasu do czasu koń odrywał się od ziemi i leciał w powietrzu nad czymś, co albo było wysokie albo szerokie. Skakał jak szatan. Musiałem dobrze się trzymać, żeby nie małowować tamtego dżokeja, bo Szeł z Borią pekłby ze śmiechu a poza tym Schweinehund raz, dwa wykończyłby nas. Leżałem koniowi na karku, trzymałem się grzywy i w ogóle wszystkiego czego tylko można było się trzymać. Nie dałbym głowy czy to nie koń prowadził mnie. Pewnie znał tę karczmę, a zresztą koń to mądrała i przeważnie wie, co siedzący mu na grzbiecie bydlak kombinuje. Nie widziałem ani dokoła ani pode mną, ani nade mną. Nawet uderzeń kopyt nie słyszałem. Tylko świst wiatru w uszach.

Jedno miałem w głowie i przed

Pisarz uczy się od czytelników

Czytelnik zawsze jest współtwórcą literatury. Wywiera na nią wpływ sygnalizując, czego się od niej spodziewa, jak i w tym, co pisarz wbrew jego gustom usiłując narzucić. Wzajemne korelacje między pisarzem a czytelnikiem to naczelnym problemem nauki o literaturze, od tego bowiem rozpoczyna się każda dyskusja o społecznej funkcji sztuki. Przygotowuję właśnie dla miesięcznika „Nurt” cykl artykułów poświęconych temu tematowi. Artykułom towarzyszyć ma seria wywiadów z pisarzami o tym, jaką wizję czytelnika kształtują w swoich utworach.

Rozmawiam z Edwardem Balcerzanem, delegatem środowiska poznańskiego na IV Zjazd Związku Literatów Polskich (Bydgoszcz, 7-9 lutego), pisarzem i jednocześnie pracownikiem naukowym Katedry Literatury Polskiej UAM.

— Twórcza rola czytelnika wydaje się dość oczywista, ale zdarza się, że najbardziej oczywiste prawdy budzą sprzeciw. Proszę więc, aby pan rozwinął swoją tezę.

— Tekst pisarza staje się utworem literackim dopiero w odbiorze, zyskuje znaczenie przez to, co czytelnik do niego wnosi. Wiadomo, że nieraz całe pokolenia wadliwie odczytywały dzieło i dopiero pokolenia następne odnajdywały jego istotną wartość. Ponadto pisarz musi się liczyć z tym, co czytelnik zaaprobuje lub odrzuci — różne epoki budują swoje tamy i wyznaczają granice. Czytelnik przekazuje pisarzowi informacje za pośrednictwem instytucji polityki kulturalnej lub — sporadycznie — bezpośrednio, na przykład na wieczorach autorskich.

— Czy należy rozumieć, że instytucje jedynie pośredniczą między pisarzem a czytelnikiem?

— Nie, one również współtworzą. Najprościej przedstawić rzecz na

rysunku trójkąta: Pisarz — Czytelnik — Instytucje. Szereg nieporozumień i niedokończonych sporów ostatniego okresu stąd wynika, że mówiono o relacji pisarz — instytucje zapominając o czytelniku. Tymczasem pełna odpowiedź na pytanie o społeczną funkcję sztuki czy bliżej — literatury — możliwa jest wtedy, gdy uwzględni się udział pisarza, czytelnika i instytucji w jej tworzeniu.

— Posługując się rysunkiem trójkąta przyjmuje pan równorzędność jego wierzchołków.

— W pewnym sensie tak, ponieważ uleganie na korzyść jednego czynnika wywołuje złe skutki: albo sezonowe mody i narcystyczne zapamiętywanie się w sobie, albo zalew łatwej literatury rozrywkowej, albo schematyzm i biurokrację w kulturze.

— Wyobraźmy sobie, że książka bez czytelnika to taki sam przedmiot jak pudełko zapalek odłożone na półkę w suchym i chłodnym miejscu. Ktoś bierze zapalki i zapala wielki płomień. Ktoś bierze książkę i...?

— Literatura zakłada sobie między innymi to, że wprowadzi do świadomości czytelnika jakąś zmianę, jest apelem o coś. Atakuje różne strony osobowości: wrażliwość estetyczną, postawy obyczajowe, moralne, polityczne.

— W którym momencie, pańskim zdaniem, najlepiej spełnia swoją społeczną funkcję?

— Nie znajduję jednoznacznej odpowiedzi. Apel do wrażliwości estetycznej może mieć aspekt polityczny, jeśli pamiętać, do jakiej tandety w kulturze doprowadził faszyzm. Pisarz tak samo uczy się u ludzi jak ludzie u niego. Język, myśli, konflikty, postawy rozmaitego typu bierze z otoczenia. Informowany o

tym, w jakim żyje świecie, apeluje o coś, ale i pyta czytelnika: „czy zgadzasz się z moją wizją świata, który jest naszym wspólnym światem?”. Deformacja rzeczywistości często bywa nie tezą, lecz takim właśnie pytaniem. Czasem pisarz reprezentuje postawę czulego nasłuchu, odrzuca fałsz i przypadkowość i daje artystyczny wykładnik społecznej świadomości. Czasem powszechnej wizji przeciwstawia własną wizję teraźniejszości i przyszłości, a wizja ta musi być bogatsza od potocznej. W obu przypadkach powinien kończyć pytaniem do odbiorcy, lub szerzej — do społeczeństwa.

Rozmawiał:

WOJCIECH BURTOWY

GRYPA HONG-KONG PO POLSKU

Dość długo broniliśmy się przed stwierdzeniem, że grypa nawiedziła nasz kraj. Odpowiedzialność za narastające absencje w pracy zrzucaliśmy na sezonowe zaziębienia, dodając charakterystykę „grypopodobną”. A oto nadchodzą meldunki o wzroście zachorowań na gripę, ba, nawet wśród sa mej służby zdrowia. Warszawa, Łódź i Poznań są w tej chwili najbardziej dotknięte epidemią.

Zwłoka w oficjalnym stwierdzeniu epidemicznego charakteru grypy — 1969 wiąże się z pewnymi trudnościami, które powstały przy identyfikacji jej sprawcy — wirusa.

Rodzina wirusów grypy jest liczna, każdy z typów posiada własnych mutantów, specjalnie zaś złośliwe są wirusy oznaczone literą A (one to wywołały słynną „hiszpankę” w 1918 r. i gripę „azjatycką” w 1957 r.). Na suwało się przypuszczenie, że ostatnie „zaziębienia” mogą być związane z epidemią grypy Hong-kong, która od paru miesięcy przesuwają się przez świat. Wywołała ją nowa odmiana wirusa, zaliczona do podtypu A-2, a więc ta złośliwsza, wykazująca znówu pewne swoiste cechy.

Ustalenie tożsamości wirusa sprawiło trudności ze względu na jego specyfikę, a objawy choroby w Polsce były nietypowe: mimo że tegoroczną gripę spowodował panoszący się w świecie wirus z Hong-kong, przebiega ona u nas łżej i na ogół nie pociąga za sobą poważniejszych komplikacji. Być może łączy się to ze zjawiskiem stwierdzonym, ale jeszcze nie skomentowanym przez naszych wirusologów: w toku badań wykryto we krwi ludności Polski obecność przeciwciał, typowych dla wirusowego szczepu Hong-kong, co świadczyłoby, że zetknęliśmy się z podobnymi wirusami, tym samym nabywając odporności na gripę Hong-kong.

W zasadzie, po zidentyfikowaniu wirusa, można by podjąć produkcję szczepionki antygrypowej, ale skoro epidemia już się szerzy — na produkcję i akcję szczepionki jest już za późno. Dopóki nie zostanie dokładnie ustalone, co nas nawiedziło, szczepionki nie można wytwarzać. Cykl produkcyjny jest długi, badania wraz z produkcją pochłonięłyby większe sumy, nie przynosząc oczekiwanych efektów.

Każdy z nas może ułatwić trudną pracę służbie zdrowia. Zahamowanie epidemii grypy zależy bowiem od przestrzegania zasad profilaktyki antygrypowej. Zaleca ona unikanie większych skupisk ludzkich, każe ubierać się ciepło, ale nie przegrzewać się, wietrzyć pomieszczenia. Na sze pożywienie w tym okresie powinno zawierać więcej witamin. I to nie tylko pastylkowanych, ale i tych, które w stanie naturalnym pobiera my w owocach: warto włączyć do jadłospisów żurawinę, sok kiszonej kapusty, „Rosavit”. Wskazane jest profilaktyczne zażywanie środków antygrypowych (w zakładach pracy podaje się w tym celu bezpłatnie Polopirynę i Asprocol). Nie chroni to przed zakażeniem, ale na pewno osłabia ataki wirusa, a więc łagodzi przebieg choroby.

Jeśli zaś wirus grypy nas nawiedzi — (pamiętajmy, że jej objawy, to ból głowy, dreszcze, gorączka, bóle kości, mięśni, gardła i gałek ocznych) nie robmy z siebie bohaterów, którzy chwają się „przechodzić” chorobę (tacy szerzą zarazki) i kładmy się do łóżka, stosując się do wskazań lekarza. Właściwością grypy — 1969 jest m. in. i to, że pacjenci już po ustaniu klasycznych objawów choroby czują się osłabieni skarżą się na zawroty głowy. Właśnie w tym pochorobowym okresie najłatwiej jest o komplikacje, które stanowią największe niebezpieczeństwo przy grypie Hong-kong.

W. K.

Samotny jeździec

Dokończenie ze str. 1

zało się, że jest to wielkie koło od wozu z poutykany na obwodzie świecami, jakie można spotkać w obozach na zachodzie Francji. Było umajone, podobnie jak ściany. Pewnie z okazji winobrania. To koło od razu mi się spodobało. Wisiało na linie. Pod sufitem przechodziła przez blok, żeby można je było opuszczać. Koniec liny miał węzeł. Ten węzeł zahaczony był na wmurowanym w ścianę grubym zakreconym muflonim rogu. Znałem rogi muflonów. Są twarde, krusze jak szkło i w środku puste. Dwaj z rewolwerami stali pod tym kołem. Nie szukałem już niczego innego.

Wyjąłem pistolet. Przykleknąłem. Oparłem lufę o parapet. Wymierzyłem. Paf... Róg rozprysł się. Natychmiast po strzale rozległ się piekielny rumor. Koło runęło z kilkumetrowej wysokości. Podniosła się gęsta chmura kurzu. W pierwszej chwili wszystko w niej utonęło.

— W porządku — powiedziałem i wskoczyłem do środka.

Oberżęście i temu drugiemu najpewniej odebrało mowę, bo usta mieli otwarte, oczy wysadzone i wyglądały jakby się dusili. Na mój widok ręce podnieśli jeszcze wyżej. Schowałem efena do kieszeni.

— Halo, Mouflon! — zawołałem — Adios caudillo.

Oczy mi błysnęły ale jeszcze przez chwilę trwało zanim jako tako przyszedli do siebie. Wskoczyli z baru. Zaczęli szybko wynosić koło. I tam tę resztę, która została po tych dwóch.

W tym momencie usłyszałem war kot naszego samochodu. Za chwilę Boria z Szeferm wpadli do izby. W rękach trzymali pistolety.

— Ręce do góry! — krzyknęli.

— Nie róbcie hałasu — powiedziałem — Ludzie dawno śpią.

Boria z Szeferm na chwilę zanieśli. Potem Szefer rzekł:

— Cholerny Samotny Jeździec. Cholerny cowboy. Dałbym głowę, że tu urzędował.

— Nasz chłopiec — powiedział Boria.

— Piekielny spryciarz. Koniokrad z Westlandu. Cholerny poeta.

— Zdecyduj się — zauważyłem — Nie można przecież obrzucać mnie wzajemnie sobie przeczącymi inwektywami.

— Patrz! — zawołał — Jeszcze gada. Trzyma mowę i udaje, że o niczym nie wie. Nie wie, że my tu mamy do niego jeden mały interes.

Zaczął pocierać sobie tył głowy.

BOGDAN RUTHA

*) Fragment powieści p.t. „Ostatni sezon w Szwajcarii”, która ukaże się wkrótce nakładem Wydawnictwa „Czytelnik”.

Przeglądamy Prasę

PRZED ZJAZDEM LITERATÓW

Na łamach „Życia Literackiego” ukazał się artykuł dyskusyjny i polemiczny Bogusława Koguta pt. „Czy literatura ma głos?” Artykuł jest poświęcony literaturze politycznej i jej roli, w kształtowaniu społeczeństwa:

„...Od lat wielu wołamy w Polsce o literaturę polityczną — pisze B. Kogut — (jako tę najbardziej zaangażowaną) i od lat nie wiemy, czy taka literatura u nas istnieje, czy jej w ogóle nie ma. A jeśli jest — to czy jest jej „dość” czy za mało, jest ona „mocna” czy „słaba”. Albowiem do dziś nie wiemy, jak ma wyglądać ta literatura piękna, związana z polityką w sposób twórczy a konkretny”.

W innym miejscu czytamy:

„W tezę KC a następnie w uchwałę V Zjazdu Partii jest mowa o nieingerencji polityki w poszukiwania twórcze i o preferowaniu poszukiwań podporządkowanych nadrzędnym celom ideologicznym. Formuła nienowoczesna, głosząca przez partię od dość dawna. Tylko nikt dotąd nie próbował stworzyć jako tako precyzyjnych kryteriów dla rozpoznania, co jest w istocie podporządkowane tym nadrzędnym celom, podporządkowane w sposób twórczy, nie tylko deklaracyjny. Praktyka naszej krytyki polegała z bardzo a bardzo nielicznymi wyjątkami — na lansowaniu tej właśnie literatury która nie konstruktynego nie ma do powiedzenia i która milczy albo tłumaczy czytelnikowi, że wszystko jest chaosem. Na palcach jednej ręki można policzyć krytyków, którzy — łowili kasek i nie penetrowali obszary kate-

raty, co chciała mieć (i miała) coś do powiedzenia, nie być poniżej albo powyżej. Na giełdzie literackiej wyhodowano mit o literaturze wiodącej (hodowcę założył S. Żółkiewski), to znaczy takiej literaturze, która jest ponad własnym „partykularizmem”, która cele uniwersalistyczne realizuje poza doświadczeniem własnego społeczeństwa. Literaturę (...) udręczoną i zdeorientowaną. Tej literatury ludzie czytali na ogół nie chcieli. Ale ją — i tylko ją — czytali, oceniali, lansowali krytycy wszystkich kalibrów. I tę właśnie literaturę — tę częścią, ten jeden nurt, jeden element polskiego życia literackiego wzięto za całość, za wszystko”.

W tym samym numerze „Życia Literackiego” pisze również Stefan Otwinowski „W obronie pogardzonej prozy”.

W „Kulturze” znajdujemy artykuł Janusza Wilhelmiego pt. „Kultura jest całością”.

„A więc świat — konkluduje autor —, który nas otacza — świat duchowy i materialny, zawiera w sobie zmagazynowaną twórczość, twórczość bez wyjątku, także i artystyczną, także i piśmienniczą. Przypominam tę prawdę nie z racji abstrakcyjnych. Przypominam ją na refleksyjny użytek ludzi, których powołaniem jest stanowić świat. To pióro jest — jak że ważkim! — kluczem do wszelkiej przyszłości ich własnego kraju. Niechże nie dają mu rdzewieć. Niechże go używają najlepiej, najsukuteczniej, najtrafniej. Zgodnie z wielkością zadań, które ten kraj na swej nowej socjalistycznej drodze sobie postawił”.

PRZEMYSŁ MEBLARSKI
NA CENZUROWANYM

„Życie Gospodarcze” zamieszcza artykuł Janusza Wasylkowskiego pt. „Niepokoje i nadzieje” poświęcony obecnej sytuacji i przyszłości 5-lecia przemysłu

meblarskiego. Autor stwierdza że nie trzeba być fachowcem, by przekonać się że meblarska rzeczywistość nie jest różowa. Wystarczy wejść na godzinę do jakiegokolwiek sklepu meblarskiego w którymś z większych miast Polski.

„Bardzo duży procent klientów opuszcza sklep nie znalazłszy poszukiwanego mebla. Niestety, tu przy okazji należy podkreślić brak koordynacji między produkcją przemysłu meblarskiego a handlem meblami (...) Kupno mebli stanowi swoistą loterię, na której najbardziej przegrzają najgorzej sytuowani, tzn. przede wszystkim ci, którzy zaciągają ORS-owskie pożyczki i mają ograniczone (czasowo) możliwości oczekiwanie aż wymarzona wersalka czy komplet stołów znajdzie się wreszcie w sprzedaży. W konsekwencji kupują to, co akurat jest na składzie, niezależnie od swoich potrzeb, a nawet i możliwości. Zresztą od dawna trwa spór kompetencyjny między handlem i przemysłem o to, kto ma wydawać katalogi informujące o asortymencie meblarskim (...) A katalogów nie ma (...) Ani handel ani przemysł nie są zbyt zainteresowane sprzedażą swoich produktów, gdyż z góry są przekonane, że wszystko „pójdzie”.

Po tych jakże słusznych uwagach autor pisze o nadziejach, niepokojach i szansach przemysłu meblarskiego, które oby doprowadziły do poprawienia sytuacji na rynku.

MIEJMY LITOŚĆ NAD UCZNIAMI!

Taki tytuł nosi artykuł Lucjana Sutkowskiego opublikowany na łamach „Głosu Nauczycielskiego”. Chodzi w nim o nadmierne przeciążenie lekcjami domowymi młodzieży szkół podstawowych i średnich.

„Prowizoryczne badania (...) wykazały, że przeciętnie uczniowie szkół podstawowych odrabiają lekcje od 2 godzin w klasach młodszych do 5 — w starszych. Nad zadaniami matematycznymi klasy VIII głowią się nawet ojcowie — inżynierowie (...) Ciągłe słyszenie narzekania nauczycieli na programy zreformowanej szkoły. Z niektórych przedmiotów, jak matematyka, historia, język polski, są one za obzerne, za trudne, zaś lektury obowiązkowe, lektury w wy- pisach — źle dobrane, trudne do interpretacji. Najwięcej jednak czasu uczniom starszych klas szkoły podstawowej i szkoły średniej pochłania matematyka, której nawet wielu nauczycieli nie rozumie w pełni, nie mówiąc o rodzicach, nawet wykształconych (...) Uczniowie zmęczeni i znudzeni pracą domową w szkole nie są zdolni do samodzielnego wysiłku umysłowego, do wnikliwego obserwowania zjawisk i procesów, ich uogólniania, nie dostrzegają problemów w podawanym materiale, nie są aktywni, nie ustosunkowują się do wiedzy im wpajanej, nie przeżywają jej, a tym samym nie kształtują swych przekonań”.

Ponadto zwracamy uwagę na następujące pozycje: „Listy do Lagerkommandanta” Czesława Czubaka w „Kulturze”; „Wolna Europa” ... dotrzymuje słowa” W. M. w „Życiu Literackim”; „Cykle i wstęgi” Jana Głowczyka w „Życiu Gospodarczym”; „Uświecenie cywilizacji czy sekularyzacji świętości?” Tadeusza Płużańskiego w „Argumentach”; „Refleksje nad pamiętnikami Ziemi Zachodnich” Stefana Nowakowskiego w „Tygodniku Kulturalnym”; „Cud nad Odrą” Janusza Maciejewskiego i „Historia bezkrwawej rewolucji” Henryka Zdanowskiego w „Polityce”.

LEKTOR